

GŁOS KATOLICKI

LA VOIX CATHOLIQUE

TYGODNIK WYCHODŹSTWA

HEBDOMADAIRE DES EMIGRES POLONAIS

23 (984)

Niedziela, 8 czerwca 1980 r.

Rok XXII

BOŻE CIAŁO

Uroczystość Bożego Ciała w Polsce posiada szczególny urok. Tłumy wiernych — starszych, młodzieży i dzieci — biorą udział we wspaniałych procesjach pod otwartym niebem. Dziew-

BOŻE CIAŁO

*Zostanę z wami do skończenia
świata
Wśród burz życiowych i słońca
promieni —
Niech jeno korna ku niebu myśl
wzłata,
Niech czule serce dobroć Bożą ceni.*

*Wieg uroczystcie ozwały się dzwony!
Potężne echo w daleki kraj leci —
Przed Majestatem Niebieskiej
korony
Kłonią się starcy, niewiasty i dzieci.*

*Dziewczęce rączki sypiąc kwiecie
wonne,
Kobierzec swój ścielą pod Pańskie
nogi —
Zadrgały żywo nadzieje niepłonne,
Bo Wiekuisty ludzkie zwiedza
progi.*

*Skromnie pod chleba postacią
ukryty
Z monstrancji złotej na lud patrzy
wierny
I zsyła łaskę, co osiąga szczyty —
On — Bóg Wszechmocny i Pan
Miłosierny.*

*O nasz Wieczysty, Nieśmiertelny
Boże!
Chwała Twoa w świecie nigdy nie
ustanie,
A wiary w Ciebie niechaj zło nie
zmoże —
Władzo Stworzenia i najlepszy
Panie!*

M. Lisowski

czynki, ubrane w regionalne, ludowe stroje sypią kwiatki przed Najświętszym Sakramentem. Kapłana niosącego monstrancję pod baldachimem prowadzą w białych rękawiczkach zasłużeni parafianie. Dzieci, które przystąpiły w tym roku do I Komunii św., idą specjalnie ustawieni szeregami w komunijnych ubrankach i sukienkach. Wierni śpiewają pieśni eucharystyczne, częstokroć na przemian z orkiestrą, modlą się przy czterech ołtarzach, pięknie przyozdobionych zieloną i kwiatami. Domy ulic, którymi przebiega trasa procesji ubiera się wspaniałe świętymi obrazami, kwiatami, zieloną iluminacją elektryczną i świecami. Ozdabia się także kwiatami i zieloną, wieńcami i girlandami wszystkie przydrożne krzyże, kapliczki i figury.

Dawniej w procesjach Bożego Ciała brały udział różne organizacje, wojsko i przedstawiciele władzy państwowej. Do dziś dla parafii uroczystość ta stanowi wielkie przeżycie. W szeregach idą parafialne bractwa i stowarzyszenia kościelne, niosąc sztandary, feretrony i święte obrazy. Po zakończeniu procesji wierni, tradycyjnym zwyczajem, oblaamywują gałzki brzołek stanowiące dekorację przy ołtarzach oraz w kościele. Zabierają je do siebie i następnie zatykają w mieszkaniach za święty obraz (do przyszłego roku), przy wejściu do domu lub w pomieszczeniach gospodarskich za belkę oraz w czterech rogach pół — podobnie jak poświęcone palmy. Chroni to ich zdaniem zagrody i pola przed niebezpieczeństwami, a zwłaszcza przed skutkami burz i gradobicia. Cztery gałzki, umieszczone na czterech rogach pola, jakby mocą czterech Ewangelii mają zachować pole od nieszcześ.

W Krakowie istniał zwyczaj oprowadzania „konika zwierzyńckiego” zwanego inaczej „lajkonikiem”. Był to pochód urządzany przez robotników zajmujących się splywem drzewa. Punk-

tem wyjścia był Klasztor Sióstr Norbertanek na Zwierzyńcu. Siostry dawały flisakom pewne upominki z tej racji. Centralną postacią w pochodzie stanowił jeden z flisaków w czerwonym stroju, z buławą w ręku na drewnianym koniku. Zwyczaj ten związany był przypuszczalnie z pokonaniem Turków.

Dawniej na Boże Ciało przypadają także uroczystości bractw strzeleckich. Urządzano wtedy zawody strzeleckie.

SERCE JEZUSA

*Chrystus na krzyżu ramionami
swymi
Objął występne trzęsawisko ziemi
I mocą świętej, męczeńskiej Ofiary
Oddał widmo wiekuistej kary.*

*Nađ świata szpitalem w Odkupienia
chwili
Głowa w cierniowej koronie się
chyli,
A serce otwarte włóczęm ludzkiej
złości
Żyzną wylało Krew Bożej Miłości.*

*Serce to kruszy grzechu twarde
skały —
W nim Miłosierdzia kwiat zakwitł
wspaniały
I barwną tęczę wzniesłego
natchnienia
Zbłąkaną duszę Łaska opromienia.*

*W ciszy ołtarza codziennie Pan
czeka
Na jedną łzę żalu — na skruczę
człowieka,
Żeby w nagrodę dać mu Serce
swoje,
By życia wiecznego otworzyć
podwoje.*

M. Lisowski

Uczmy się odczytać tajemnicę Chrystusowego Serca

Przemówienie Ojca św. Jana Pawła II

Pojutrze, w najbliższy piątek, liturgia Kościoła skupia się za szczególną czcią i miłością przy tajemnicy Chrystusowego Serca. Pragnę przeto już dzisiaj, uprzedzając ten dzień i to święto, wraz z Wami skierować wzrok naszych serc w stronę tajemnicy tego Serca. Przemawiała ona do mnie od młodych lat. Co roku do niej powracam w liturgicznym rytmie czasu Kościoła. Wiadomo, że miesiąc czerwiec jest szczególnie poświęcony Boskiemu Sercu Jezusa. Wyrażamy Mu naszą miłość i cześć poprzez litanie, która przemawia szczególnie głęboko swych teologicznych treści w poszczególnych wezwaniach.

Pragnę przeto dzisiaj, bodaj krótko, zatrzymać się wraz z Wami wobec tego Serca, ku któremu zwraca się Kościół jako wspólnota ludzkich serc. Pragnę przynajmniej krótko powiedzieć o tej tajemnicy tag bardzo ludzkiej, w której z taką zarazem prostotą, głębią i mocą objawił się Bóg.

Pozwólm dzisiaj przemówić tekstom piątkowej liturgii, poczynając od czytania Ewangelii według św. Jana. Ewangelista referuje fakt że ścisłością nocożnego świadka. „Ponieważ był to dzień Przygotowania, więc po to, by ciała nie pozostały na krzyżu w szabat — a ów dzień szabatu był wielkim dniem — prosili Zydzi Piłata, aby im połamano gołenię i usunięto. Przysli tedy żołnierze i połamali gołenię tak pierwszego jak i drugiego, który z Nim był ukrzyżowany. A kiedy podeszli do Jezusa i zobaczyli, że On już umarł, nie łamali Mu gołenię, tylko jeden z żołnierzy włócznią przebił Mu bok i natychmiast wypłynęła krew i woda” (J. 19,31-34).

Ani słowa o sercu. Ewangelista mówi tylko o przebicciu boku, skąd natychmiast wypłynęła krew i woda. Język opisu jest prawie że lekarski, anatomiczny. Włócznia żołnierza trafiła z pewnością w serce, aby sprawdzić, czy Skazaniec już umarł. To serce — to ludzkie serce — przestało już pracować. Jezus nie żył. Równocześnie jednak to anatomiczne otwarcie serca Chrystusa po śmierci — pomimo całej historycznej „surowości” tekstu — każe nam myśleć w przenośni. Serce bowiem nie jest tylko organem warunkującym biologiczną żywotność człowieka. Serce jest symbolem. Mówi o całym człowieku wewnętrznym. Mówi o duchowym wnętrzu człowieka. I tradycja bardzo rychno odczytała ten sens Janowego opisu. Poniekąd zresztą sam Ewangelista dał do tego asumpt, gdy odwołując się do świadectwa nocożnego świadka, którym sam

był, powołał się równocześnie na takie zdanie z Pisma: „Będą patrzeć na tego, którego przebodli” (J 19,31; Za 14,10).

Tak też rzeczywiście Kościół patrzy. Tak ludzkość patrzy — i oto w przeobitym włócznią zoinierza boku całe pokolenia chrześcijan uczyły i uczą się odczytywać tajemnicę Serca Ukrzyżowanego Człowieka, który był Synem Bozym.

Różna jest miara wiedzy o tej tajemnicy, którą na przestrzeni stuleci posiadli różni uczniowie i uczniowie Chrystusowego Serca. Jednym z protagonistów w tej dziedzinie był zapewne Paweł z Tarsu, nawrócony z przestawcy Apostoł. On też przemawia do nas w liturgii najbliższego piątku słowami listu do Efezjan. Mowi jako człowiek, który doznał wielkiej łaski. Oto dane mu jest „głosić jako Dobrą Nowinę niezgłębione bogactwo Chrystusa i wydobywać na świat, czym jest wykonanie tajemniczego planu, ukrytego przed wielkimi w Bogu, Stwórcy Wszechwzeczy...” (Ef 3,8-9).

Owo „bogactwo Chrystusa” i zarazem ów „odwieczny plan zbawczy” Boga zaadresowany jest przez Ducha Świętego do „wewnętrznego człowieka”, aby w ten sposób Chrystus „zamieszkał przez wiarę w naszych sercach” (Ef 3,16,17). A gdy Chrystus mocą Ducha Świętego zamieszka przez wiarę w naszych sercach, wówczas dopiero zdołamy „ogarnąć naszym ludzkim duchem” (czyli właśnie tym „sercem”), „czym jest szerokość, długość, wysokość i głębokość i poznać miłość Chrystusa, przewyższającą wszelką wiedzę...” (Ef 3,18-19).

Dla takiego poznania sercem, każdym ludzkim sercem, zostało otwarte u kresu ziemskiego życia Boskie Serce Ukrzyżowanego na Kalwarii Skazańca.

Różna jest miara tego poznania ze strony ludzkich serc. Wobec potęgi słów Pawłowych niech każdy z nas zapyta siebie o miarę serca własnego.

„Bo jeśli nasze serce oskarża nas, to przecież Bóg większy jest od naszego serca, i zna wszystko...” (1 J 3,20). Serce Człowieka-Boga nie sądzi ludzkich serc. Serce wzywa. Serce „zaprasza”. W tym celu zostało otwarte włócznią żołnierza.

„Jawi się tajemnica serca poprzez ranę ciała, jawi się ów wielki sakrament miłości,

jawi się wnętrza miłosierdzia naszego Boga...” (S. Bernardus, Sermo LXI 4: PL 183, 1072).

Chrystus mówi w piątkowej liturgii: „Uczcie się ode Mnie, bo jestem cichy i pokorny sercem” (Mt 11,29).

To chyba jeden jedyny raz tak własnymi słowami odwołał się Pan Jezus do swego serca. I uwydatnił ten jeden rys: „cichość i pokorę”. Jakby chciał powiedzieć, że tą tylko drogą chce zdobywać człowieka, że przez „cichość i pokorę” chce być królem serc. Cała tajemnica Jego królowania wyraziła się w tych słowach. Cichość i pokora oślania niejako całe to „bogactwo” Serca Zbawiciela, o którym pisał św. Paweł do Efezjan. Ale też owa właśnie „cichość i pokora” najpełniej je oślania. Najbardziej pozwala nam poznać i przyjąć. Czyny przedmiotem najwyższego podziwu.

Piękna litania do Serca Pana Jezusa składa się z wielu takich wyrazów — więcej, okrzyków podziwu dla bogactwa Chrystusowego Serca. Rozważmy je tego dnia z uwagą.

Tak więc u kresu tego podstawowego cyklu liturgicznego Kościoła, który rozpoczął się wraz z pierwszą niedzielą Adwentu, przeszedł przez okres Narodzenia, potem Wielkiego Postu, Zmartwychwstania, aż do Pięćdziesiątnicy, Niedzieli Trójcy Świętej i Bożego Ciała, staje dyskretnie święto Bożego Serca. Cały ten cykl ostatecznie zamyka się z Nim, w Sercu Boga-Człowieka. Z niego też promieniuje co roku na całe życie Kościoła.

To Serce bowiem jest „źródłem życia i świętości”.

KALENDARZ

Imieniny obchodzą:

- 8 czerwca: Maksym, Medard
- 9 czerwca: Efrem, Pelagia, Felician
- 10 czerwca: Bogumił, Małgorzata
- 11 czerwca: Barnaba, Radomił
- 12 czerwca: Jan, Onufry
- 13 czerwca: Antoni, Lucjan
- 14 czerwca: Elizeusz

Kalendarz historyczny:

9-26. VI. 1944 — Bitwa w Lasach Janowskich, Lipskich i Puszczy Solskiej — największa na ziemiach polskich bitwa oddziałów Armii Ludowej, Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich, z silnym ugrupowaniem hitlerowskim.

11. VI. 1898 — Powstało Polskie Towarzystwo Gimnastyczne Sokół w Kurtybie (Brazylia), które wraz z innymi polskimi organizacjami utworzyło w 1910 Towarzystwo Uniao Juventus.

TREBACZ Z SAMARKANDY

(Legenda hejnału mariackiego)

Był kiedyś, jak ja, młodszym asystentem przy katedrze historii prawa i wklepał tę samą, co ja, pasję w volumina i pandecta, w wilkierze i rescripta. Kolejne zimy stały białe gronostaje śniegu na renesans krużganków wawelskich; kolejne wiosny rozzieleniały Sikornik zielenią jeszcze młodszą niż ta z trawników Green Parku. Ale ciemne pokoje gmachu na Gołębiej 20, gdzie zakłady uniwersyteckie gnieździły się od czasów Zygmunta Starego, były zawsze tak samo mroczne, jedynie może na wiosnę bardziej jeszcze wilgotne. A myśmy pisali rozprawę po rozprawie, pracę po pracy. Kiedy pracował nad prawem kulmeńskim, ja zaczynałem moje „Urządzenie włóci monarszych na podstawie «Capitulare de villis» Karola Wielkiego”. Kiedy grzebał się w ustawodawstwie miejskim Prus Królewskich, ja kończyłem studium o woływie Monteskiusza na konstytucję trzeciego maja. Byliśmy w wielkiej zgodzie, bo łączyły nas te same pasje naukowe. Ale mnie coraz bardziej pociągał Wschód naszych najbliższych sąsiadów, ów Wschód republik kupieckich Wielkiego Nowogródu i Pskowa, Złotej Hordy, z którą kumał się Witold, Gireiów krymskich, z którymi korespondowali Jagiellonowie. Tylko że w Krakowie, jak i na Zachodzie, brakło dla mnie kluczy do tego tajemniczego świata. On za to do swego miał wszystkie. Jak mnie pociągał Wschód, azjatycki i monachijski, tak ieno pociągał umiar, spokój, chłód i ład miejskiego średniowiecza Europy. W Krakowie, obok arystokratycznego kłanu Pałacu pod Baranami, Brackiej i Szlaku Tarnowskich, obok świata profesorskiego, gdzie katedry naukowe były zwyczajowo dziedzinne, niczym kasztelanie w dawnej Polsce, no i jak nieraz stanowiska polityczne w niedawnej Anglii, istniał jeszcze i cichszy, skromny, ale silny w sobie świat mieszczkański. Bardziej odpowiadała mu Pana Maria niż katedra na Wawelu, a mieszczkańskie domy Grodzkiej bardziej niż pałace. Mój przyjaciel wyrósł właśnie z tego świata.

Młodzi historycy mają zwykle pogardę dla wszystkiego, co określane jest przez nas jako legenda, obrzęd, podanie ludowe i co nie może się wylegitymować świadectwem wyraźnych dokumentów. Mój przyjaciel inaczej. On raczej najbardziej zdawał się wierzyć właśnie tradycji ludowej. Uważał, że, przechowywana przez ludzi o umysłach prostych, znacznie mniej ulega skażeniu



niż wtedy, gdy biorą ją w objęcia swej fantazji ludzie określane jako wykształceni. Uważał, że jeśli jakiś wersję przechowuje jeden tylko człowiek albo paru ludzi lub kilka dokumentów, jest ona znacznie mniej wiarygodna niż wersja przechowywana przez ogół mieszkańców pewnej wsi, dzielnicy czy miasta i przez masę ludzką przekazywana następnym pokoleniom. Toteż gdy w pewnej chwili zawarł spór o tzw. „lajkonika”, mój przyjaciel stanął mocno po jego stronie. Wszyscy znamy historię lajkonika, nie warto jej powtarzać. Dość, że naraz wydtubano nie wiedzieć skąd, iż owa tradycja, z której Kraków był tak dumny, którą tak hucznie obchodził rokrocznie w okresie Bożego Ciała, jest wymyślem na pewno bardzo późnego pochodzenia! Albowiem nie znaleziono przecież w żadnych źródłach najmniejszego śladu, by Kraków doznał kiedyś takiego właśnie najazdu tatarskiego, o jakim mówią tradycja. Nigdy Tatarzy nie podeszli do miasta niespostrzeżenie i tak blisko, by móc je chcieć opanować podstępem i, co ważniejsza, móc ubić z łuku strażnika na wieży Mariackiej w chwili, gdy ten grał hejnał. Tak samo nie ma wzmianki o tym, jakoby rozgromiono później owych Tatarów, i to tak, że wódz czy książę poległ. Profesorowie, jak wiadomo, nie lubią legend, a lubują się w ściśłości.

Lud krakowski nie bardzo się przejął owymi odkryciami profesorskimi. Po

pierwsze dlatego, że żył odgradzony zarówno od Krakowa hrabiowskich koron jak od Krakowa profesorskich tóg, murem obronnym znacznie dawniejszym niż brama Floriańska. Po drugie, że już raz stoczył bój zaarty z zwycięską o gołębie kościoła Mariackiego. Ale mój przyjaciel począł kruszyć kopie z dobrą półkąpą mędrców zasiadających rokrocznie w stallach Collegii Novi i defilujących w gestych oparach naftaliny, w purpurze, fiolecie, zieleni i granacie tóg, z kościoła św. Anny do tegoż Collegium. Przypomniał, że przecież hejnał mariacki był niegdyś grany z baszt na murach miasta i że na jednej z tych baszt mógł być ustrzelony ów trebacz; wywodził, że w kronikach są luki i niedokładności; że jeśli czegoś nawet nie było w kronice, w życiu przecież mogło się zdarzyć. Dyskusja się toczyła; lata też: mój przyjaciel na marginesie innych prac bronił swej legendy.

W r. 1939 powołano go do wojska na ćwiczenia rezerwistów. Pisał do mnie, gdzieś z Ostroga: „Zwiedzam Twoje rodzinne strony”. Niebawem miał zwiedzić je w sposób nieco dokładniejszy. Znalazł się bowiem w Starobielsku, potem w Griażowcu, a wreszcie w Taszkencie. Po dwóch latach poniewierki mundur polowy armii polskiej był wyświechtany, obskubany, wycerowany, ale więcej w nim było sławy niż w niejednym sztandarze, co to nigdy poza defiladami nie widział frontu. Człowiek zszarzał, ściągnął się, ale fantazji nie stracił. Dużo czytał, trochę pisał.

— Szalenie żałuj, żeś tego wszystkiego nie przeżył. Kozielsk, co tam za monaster! Prawosławny barok! Zjeździłem jako oficer kwaterunkowy całą środkową Azję sowiecką. Co to za wspaniałość! Buchara! Samarkanda!

Był to naprawdę naukowiec, bo najgorsze wszy nie zdołały w nim zabić owej pasji, tak samo jak w Józefie Czapskim nie ostały wrażliwości na piękno, na barwę, na światło i linię, tak samo jak w Broniewskim nie odczadziły uroku wierszy Jesienina i Błoka. Siedzieliśmy już w Teheranie, mieście legend Szeherazady, mieście Wschodu, i poprzez tandetę europejską, która tak zachwycała ludzi po wyjściu z Rosji, Wschód nachylał się nad nami i zaglądał nam do okien. A rozmowa stłumiona mówiła o Krakowie, o profesorach, o Stanisławie Estreicherze, którego nie ma, o Kutrzebie, Taubencie

(Ciąg dalszy na str. 4-ej)

(Ciąg dalszy ze str. 3-ej)

schlagu, o Adamie Vetulanim, o całym świecie, który się gdzieś zagubił, wymarł czy rozproszył. Żegnaliśmy się. Miałem zająć do niego wieczorem. Powiedział mi jeszcze: — Gdy przyjdiesz, coś ci powiem... coś pięknego ci opowiem.

Mój przyjaciel mieszkał na końcu miasta, u Ormian. Siedzieliśmy na podwórzu domu, pod drzewami, sami. Wiedziałem, że opowie mi coś, jak opowiadał kiedyś w seminarium na Gołębiej 20, o dokonanych właśnie odkryciach czy spostrzeżeniach. Zaczął jednak opowiadać o Samarkandzie.

— Wiesz — mówił — muszę się przyznać, że gdy nas skierowano znad Wołgi do tamtych okolic, odechnąłem od razu. Krajobraz takiego Jangi-Julu na przykład — to czasem krajobraz podkarpacki. Czy pamiętasz może Biecz, przycupnięty w górach, omszały? Nie znaleźliśmy naszych miast! Poza tym byli tam ludzie. Być może, że innych okolicach byli inni, być może, że gdybyśmy byli więźniami, zachowaliby się inaczej, ale teraz, ja przynajmniej mogę powiedzieć, że odechnąłem. Jest to stara rasa, na swój sposób kulturalna i cywilizowana. Ma ową godność, jaką mają mieszkańcy Maroka i Arabowie Palestyny. Myśmy dla nich prócz tego byli synami Lechistanu. Nie ma dla tych żadnej łotwy, żadnej Czechostowacji. Nie słyszeli o Holandii, Szwajcarii czy Hiszpanii. Ale o Lechistanie słyszeli. Tak jak my ongiś o Turcji. Po tylu wiekach zostały tylko dobre wspomnienia. Może tak będzie kiedyś i po obecnych wojnach. Co krok, co jakieś miasto, meczet jakiś, mogiła, natrafiało się na wspomnienia historii. Nie ma śladów historii w zielonych ostępach Komi, nie ma jej za Uralem, skąpa i młoda jest nad Wołgą. Ale tam, za Morzem Kaspijskim a ku granicy Persji, historia ułożyła się faldami tysiącleci. Kraj jest jak wygasły wulkan, który przed wiekami লাł lawę na świat. Ludy tamtejsze to taka właśnie lawa. Wylewała się ona szeroko i daleko, niosąc wojnę, ogień i mór. Aż zgubiła się w sobie i ostygła. Siedzi to nieruchomo teraz w progu nędznych domostw i czeka na nie wiedzieć co. Nawet rewolucja nie przeorała jeszcze tego marazmu do dna. Wschód. Otóż nas, Polaków, wojsko, witano, powiedziałem ci, niezmiernie serdecznie: Uzbekowie, Tadżykowie, Kirgizi, wszyscy. Ale dopiero w Samarkandzie rozpytywano się w gościnności typowo wschodniej, orientalnej, nasiąkniętej jakimś tajonym interesem. Interes był rzeczywiście bardzo dobrze utajony. Nie wyszedł nawet wiedzy, gdy zapytano nas, ni to z głupia frant, ni to nie wiedzieć co: — Jesteście synami Lechistanu, prawda?

— Jesteśmy. — I jesteście żołnierzami, prawda? — Jesteśmy. — Kilku starszych, o pomarszczonych, poźółkłych na brąz twarzach zadumało się, raz jeszcze stwierdziwszy to, co wiedzieli przecież od dawna. Po czym pytali dalej jakby od niechcenia: — I wierzycie w Bo-



ga? W swego dawnego Boga, tak? — Wierzmy, księży mamy, o patrz, krzyże nosimy — odpowiedzieliśmy. Starszy ludzie popatrzyli na wyjęte z zanadru krzyżyki. Takie z puszek po konserwach wycięte. Zdawało się, że ich to dziwnie raduje. Tu przyszło nowe, dość niespodziane pytanie, już jakby śmielsze, już idące wprost: — A trębacz macie? — Mamy! — Jak wiesz, instrumenty muzyczne mieliśmy bardzo prędko; rozumiesz przecie, jakby wyglądało polskie święto pułkowe czy defilada bez orkiestry. Nie wiem, jak tam u was w Szkocji, ale u nas to tego nie brakło... Po przewiezieniu Uzbekowie rzekli: — Bo my mamy tu do was jedną wielką prośbę... Jeśli jesteście z Lechistanu i jesteście żołnierzami... i wierzycie w swego Boga... i macie trębacz... czy nie moglibyście jutro wieczór kazać waszym trębaczom, by zatrębili na naszym starym rynku? — Na wprost meczetu, w którym leżą prochy Wielkiego Timura? — Zgoda. — Starszy podziękował, dziwnie, jak na Wschód, krótko, i odeszli. Jeszcze, odprowadzeni, spytałem w progu: — Czy na pewno zagracie? — Zagramy. — Nazajutrz uświadomiliśmy sobie, że jest to czwartek, przeddzień mahometńskiego świętego dnia, i pamiętam, że ktoś w oficerskiej stołówce zwrócił nawet na to uwagę. Że może ma to jakiś związek. Ale naprawdę poczuliśmy to dopiero wieczorem. Pułkownik, który lubi takie rzeczy, postanowił godnie wystąpić. Trębacz wypucowano jak się należy, trąby, wszystko, a jakże. Wieczorem przed meczetem w Samarkandzie, słynnym meczetem, gdzie spoczywają prochy Ta-

merlana, czerniał tłum tak zbity, tak gęsty i tak nieruchomo czekający, jak tylko na Wschodzie azjatyckim tłum czekać może. Zupętnie zastygł. Falował tylko pomrukiem. Nawet przyległe ulice i bazyry, wszystko to było zapelnione. Jedynie przed meczetem widniała niewielka, otoczona mrowiem łysina pustego bruku. Ku niej podeszli trębacze. To było miejsce dla nich. Zagrali raz, drugi i trzeci. Zagrali pobudkę wojskową, zagrali jakiś apel, zagrali wreszcie hejnał. Nasz mariacki. Pamiętasz, jak grano go w Tatiszczewie w grudniu? Wiesz dobrze, jaka jest ulica w takiej Samarkandzie czy innej Bucharze. Otóż wtedy nie było nic z tego wrzasku, rejwachu, wobec którego nasze Nalewki czy Kazimierz były oazą cichości. Oni naprawdę zmartwieli. Muzyka na nich tak działa, czy co? — W milczeniu słuchali, w milczeniu się rozeszli. Aleśmy wtedy już zrozumieli, że coś w tym jest. No i zaczęliśmy tropić, wietrzyć, węszyć. Żaden z naszych domorosłych szpicłów — a przyznasz, że u nas w ostatnich czasach ta branża dziwnie się rozmożyła! — tak nie wietrzy, tak za słowa nie łapie, tak w cudze życie nie wściabia się jak my wtedy. Ale ludzie Wschodu byli nieprzeniknieni. Nie chcieli nic powiedzieć.

Przyjaciel uśmiechnął się:

— Pierwsze wygadały się kobiety...

— Uśmiechnął się pięknymi, młodymi zębami, których nie zgryzł szkorbut. — Z relacjami świadków jest jak z relacjami w archiwach. Znajdziesz coś w Jagiellonce, porównasz z czymś w Raperswilskiej; znajdziesz coś w Raperswilskiej, porównasz z czymś w Kórniku. Byle było zahaczenie. Zahaczeniem było to, co mi powiedziała owa dziewczyna. Potem wygadali się starzy ludzie, ci, co to znali lepiej.

Pamiętam, już się ściemniło zupełnie i na ścianie ormiańskiego domu były cienie od księżycy błękitne, kiedy mówił dalej:

— Jest, okazuje się, w Samarkandzie pewna legenda. A raczej prorocstwo. Otóż oni kiedyś brali udział wespół z Tatarami w najazdach na Polskę. Rzecz zrozumiała, że brali, bo skądżeby takie masy parły na nasze kraje w czas najazdów? I oto raz dopadli do miasta, „które u was — tak mi powiedział Uzbek — jest tym samym, czym u nas (to jest tamtejszych Tatarów) Samarkanda”...

— Kraków? — zapytałem nagle.

— Nie wiem: tego mi nie powiedział i nazwy legenda nie podaje: mówi tylko, że bardzo stare i bardzo bogate miasto...

— Jeśli bogate, to nie Kraków.

— Przepraszam: w ich pojęciu tak-

(Dokończenie na str. 6-ej)

(Dokończenie ze str. 4-ej)

że Samarkanda jest bogatym miastem.

— No, jeżeli Samarkanda... — przyznałem. —

— ...bardzo stare i bardzo bogate miasto, stolica kraju. I miasto święte. Właśnie z jednego z minaretów — jak oni mówią — tego miasta trąbiono modlitwę. Tatarzy podkradli się pod same mury. Chcieli miasto wziąć przez zaskoczenie. I wtedy...

— Toż to lajkonik!

— Uwważaj! I zaledwie trębacz mógł zaalarmować miasto gdy strzała z tatarskiego łuku przeszła mu gardło. Zginął, ale zaalarmowane miasto obroniło się. Tatarzy ponieśli klęskę.

(Dziś, kiedy sobie spisuję tamto teherańskie opowiadanie, przychodzi mi na myśl, że przynajmniej raz źródła dziejowe dwóch narodów opisują to samo wydarzenie w identyczny sposób. Wtedy, w Teheranie, mogłem myśleć tylko o legendzie).

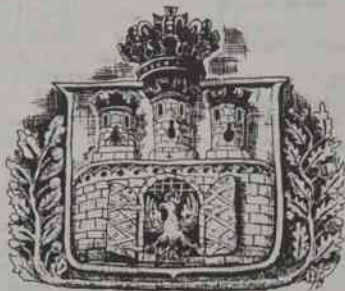
— Więc to naprawdę nasza legenda?

— Poczekaj. Ale czy wiesz, dlaczego chcieli, żeby nasi trębacze zagrali w ich mieście na wielkim placu, u progu meczetu?

— Dlaczego?

— A no wyobraź sobie, że owi Tatarzy mieli ongi szlachetny zwyczaj spisywania dokładnych raportów po każdej wyprawie. Jaki miała przebieg, jak długo trwała, jak wojowali przeciwnicy, gdzie łup był najbogatszy w bydło, a gdzie w kobiety. Raporty takie były po powrocie do ojczyzny stepów poddawane badaniom jakby komisji, gdzie zasiadała starszyzna, a więc i kapłani.

Szczególnie pilnie badano raporty, jeśli wyprawa poniosła klęskę. Tym razem przyczyny klęski zbadano tym dokładniej, że zginął w niej jakiś król-wicz tatarski, syn wodza czy coś takiego. Zupełnie więc jak w naszej legendzie krakowskiej. Jak widzisz, czasem le-



gendy mają rację. Kapłani nie biedzili się długo nad swą wyrocznią. Orzekli oni niebawem, że klęska była spowodowana karą nieba za to, że w czasie gdy miasto zabierało się do modlitwy, przerwano znieścacka jego pacierze. Nie wiem, dlaczego tak właśnie orzekli. Może dlatego, że wszyscy kapłani mają poczucie solidarności, może dlatego, że nie znalazłszy innych przyczyn chcieli w ten sposób wyrazić to, co my nazywamy „vis major”. Dość, że tak orzekli. I dodali jeszcze przepowiednię nader ponurą dla tych wszystkich ludów. „Czyn wasz — mówili — ześle na was karę nieba. Nie będziecie trawili cudzych ziem co wiosnę, nie będziecie zdobywali obcych miast, kró-

lestwa wasze upadną, na gruzach meczetów chwast porośnie i sława stepowa w zapomnienie popadnie. Jednak i dla was zabłyśnie słońce pomyślności. Ale nie nastąpi to, zanim trębacz z Lechistanu nie zatrąbi na rynku w Samarkandzie pieśni, której wtedy nie skończył”. Tak powiada legenda samarkandzka. I tak wierzą wszystkie plemiona mongolskie od Tian Szaniu po brzegi Morza Kaspijskiego. Duch Dżyngischana błąka się po stepach Azji.

— Więc to jest autentyczna legenda?

— Cóż to znaczy: legenda autentyczna? Bywają dokumenty autentyczne lub podrobione; nie ma autentycznych lub podrobionych legend. Legendy nie mają metryki. Kraje nowe nie mają legend; kraje stare je mają. Legenda fermentuje w mózgu paru pokoleń, jak wino w kadziach, nabiera siły. To pewna, że tutaj nikt nie słyszał o Krakowie, o hejnale, o naszym lajkoniku. Ale mieli legendę, która jest jakby połową naszej legendy.

Jak w naszym klimacie odnajdujemy ich stepowe wzory, tak w rysunkuowej legendy odnajdujemy ślad naszej.

W zmierzchu niebieskim nocy, pod białą, wyblękniałą ścianą, Kraków nagle zesunął się na obraz Samarkandy. Wieża Mariacka, Rynek, Gołębia, Planty. Opopadała zasłona przestrzeni i czasu. Zmalały gdzieś mile i wieki. Pomiędzy dalekim Krakowem a niemal legendarną Samarkandą poczynął się więc wzorzysty, jednakowy dla nich i dla nas rysunek wspólnej legendy.

Kantata na cześć Jego świątobliwości Ojca Świętego — Jana Pawła II — Pierwszego Polaka na Stolicy Piotrowej

*Zajaśniałeś jak słońce na nieba błękicie
i olśniałeś swym blaskiem liczne rzesze ludzi,
w zimnych, zamkniętych sercach obudziłeś życie,
co zdało się zamierać w przelotnej ułudzie.
Lecz choć nie jesteś słońcem, ni gwiazdą, ni Bogiem,
to jednak pełnisz rolę przez Boga zesłaną.
Prowadzisz ludzkie rzesze słabe i ubogie
drogą Chrystusa Pana, bo On naszym Panem!*

*Nie głosisz dla uciechy radosnych peanów,
nie obiecujesz szczęścia i ziemskich rozkoszy,
jesteś Ojcem dla wszystkich ras, ludów i stanów,
i pokój pod opieką Matki Bożej głosisz.
Nie gładka twoja droga i nie łatwa praca.
Fale wokół wzburzone, piorun z nagła leci,
to, co z trudem powstało, łatwo się wywraca*

i niepokój, jak zmora grasuje po świecie.

*W trwałych dotąd podstawach coś trzeszczeć zaczyna,
budzą się widma wojen, przemocy i śmierci.
Góra złowrogie cienie tajemniczo płyną,
jako ptaki spieszące gdzieś na nieczne łowy,
bo krzyk ich serca płoszy i w uszach nam wierci,
jakby głosiły ludziom przyjście ery nowej.*

*Ojciec Święty, kochany! Ty nasz Ojciec Święty!
Nie upadaj na duchu i nie trać nadziei!
Tyś jest jeden z naszego narodu wyjęty,
a my jesteśmy z tobą wszyscy, po kolei!
My cię nie opuścimy, i ty bądź też z nami,
tam w ojczyźnie i tutaj poza granicami!*

Julian MAJCHERCZYK

PIEŚŃ o BERNADECIE

Bernadeta nie ochłonęła jeszcze całkowicie ze strachu po pamiętnej rozmowie z dziekanem. Toteż ręce ma zimne jak lód i drży cała, gdy ją teraz wprowadzają do gabinetu. Wprawdzie pokój nie wygląda tak groźnie jak wielka i ponura sala przyjęć na dole, lecz widok księży potęguje jej przerażenie. Serce tłucze się nieźnośnie.

— Podejdź bliżej, drogie dziecko — odzywa się ksiądz Peyramale, starając się mówić bardzo łagodnie, choć już na wstępie wizyty budzi się w nim dawna nieuzasadniona złość ku niej. — Chodź, usiądź bliżej przy ogniu! Czy mogę cię czymś poczęstować?

— O, bardzo dziękuję, księże dziekanie!

— Usiądź więc sobie wygodnie. Twój katecheta i ja chcemy ci zadać kilka pytań. Czy odpowiesz nam prawdę?

— O tak, księże proboszczu.

Prościutko i sztywno siedzi Bernadeta koło kominika. Peyramale przysuwa swe krzesło tuż obok i poczynają ją z bliska obserwować, jak lekarz pacjenta.

— A więc, co to takiego powiedziała Pani dzisiaj do ciebie?

— Que soy era Immaculada Councepciou — odpowiada dziewczynka z widocznym wysiłkiem pamięci.

— A czy ty wiesz, co to znaczy: Jam jest Niepokalane Poczęcie?

— O nie, tego nie wiem...

— A wiesz, co znaczy słowo niepokalana?

— Tak wiem. Niepokalana to znaczy zupełnie czysta.

— Dobrze. A co znaczy — Poczęcie?

Bernadeta spuszcza głowę i milczy.

— No zostawmy to — odpowiada na razie wymijająco ksiądz proboszcz i przechodzi na inny temat.

— Powiedz mi za to, co wiesz o Matce Boskiej? Z pewnością już wam o niej niejedno wasz katecheta opowiadał.

— O tak! — jąka się Bernadeta; wylamuje sobie przy tym palce z zakłopotania, jak słaba uczennica, która ma mało zaufania do swej tępej głowy. — Matka Boska wydała na świat Dzieciątko Jezus. Leżało na słomie w betlejemskiej stajence. Z lewej strony stał wółek, a z prawej osiołek, na którym przyjechała, i przyglądały się temu. Wółek parsknął głośno, a potem przybyli pastuszkowie i święci trzej Królowie. A potem Matka Boska miała wiele nieszczęść w życiu i siedem mieczów w Sercu, bo Syna jej Zbawiciela, przybyli do krzyża...

— Tak, wszystko co mówisz jest prawdą — przytakuje ksiądz dziekan. — Lecz czy wasz katecheta nie opowiadał wam czegoś więcej? Czy nie opowiadał wam nigdy o Niepokalanym Poczęciu?

Tu wtrąca się ksiądz Pomian.

— Jestem pewny, księże dziekanie, że nigdy nie wspominałem nie o tym dogmacie. Temat ten nie należy do programu szkoły powszechnej.

— A może nauczycielka wasza, siostra Vauzous mówiła wam coś o tym?

— Wylączam zupełnie taką możliwość — stanowczo zaprzecza ksiądz Pomian.

Ksiądz dziekan patrzy prawie żalownie w oczy dziewczynki. Przypomina sobie słowa dyrektora Clarena, który wyraził się dzisiaj, że największą siłą Bernadety to jej zupełna obojętność w dyskusji. Dziekan nachyla się ku niej ponownie:

— Jednakże musiałas już gdzieś słyszeć to wyrażenie. Staraj się przypomnieć sobie dobrze, kto ci mówił o Niepokalanym Poczęciu? Bo chyba nie zaprzeczysz, żeś już o tym w ogóle słyszała?

Bernadeta zamyka oczy i namyśla się. Chce uczciwie spełnić rozkaz dziekana. Po chwili mówi takim tonem, jakby się chciała uniewinnić:

— Być może, że już kiedyś coś słyszałam, ale nie nie pamiętam.

— A więc ja ci coś powiem, drogie dziecko, o Niepokalanym Poczęciu. Przed czterema laty, 8 grudnia, nasz Ojciec św. Papiież Pius w Rzymie ogłosił światu naukę, że Najświętsza Panna Maryja od pierwszego momentu swego poczęcia, to znaczy od pierwszej chwili swego istnienia w łonie matki, była wolna od wszelkiej zmyły grzechu pierworodnego. Stało się tak dlatego, bo Bóg wyróżnił ją szczególniejszą łaską na poczet przyszłych zasług Pana Jezusa Chrystusa. Zrozumiałas mnie, Bernadeto?

Bernadeta wolno potrząsa głową:

— Jakbym to mogła zrozumieć, księże dziekanie?

— Wierzę ci najzupełniej, moje dziecko. Jakbyś to mogła pojąć. Nie są to rzeczy dostępne dla rozumu ludzkiego. Niech sobie wlecy uczeni łamią nad tym głowę. Ale jedno może zrozumiesz i ty. Gdyby Najświętsza Panna rzeczywiście do ciebie przemówiła, mogłaby jedynie powiedzieć o sobie: — Jestem owocem niepokalanego poczęcia, ale nie mogłaby powiedzieć: Jestem Niepokalane Poczęcie. Bo narodzenie albo poczęcie są to wydarzenia. A osoba nie jest czymś co się wydarzyło. Nikt o sobie nie może powiedzieć: Jestem narodziemem mej matki, prawda? Chyba zrozumiałas, co?

Bernadeta milczy i bez zainteresowania patrzy na dziekana. W nim zaś odzywa się stara wada i ogarnia go gwałtowna złość. Zawołowany, lekko ochryply głos przybiera groźny ton:

— Zatem twoja Pani popełniła niewybaczalną pomylkę. Przyznajesz?

Bernadeta marszczy czoło pod kapturkiem, którego do tej chwili nie zdjęła z głowy. Po pewnym namyśle odpowiada:

— Pani jest przecież obcą w naszych stronach i czasem zdaje mi się, że jej trudno się wyrażać.

Słyszając te słowa ksiądz Pomian nie może ukryć uśmiechu, co zauważywszy dziekan daje mu nieznaczny znak. Katecheta cicho wysuwa się z pokoju. Nie jest to po myśli Bernadety. Lubi swego prefekta i wolałaby, aby jej nie zostawiał sam na sam z dziekanem. Tymczasem proboszcz, westchnawszy ciężko, poczynają mówić:

— Drogie dziecko, nadeszła teraz dla ciebie poważna godzina. Pomyśl, że za kilka tygodni masz po raz pierwszy przystąpić do Stołu Pąskiego. Jestem odpowiedzialny za ciebie i lękam się o twą duszę. Co mam z tobą zacząć? Dobrze ci patrzy z oczu i zdajesz się mówić prawdę. Mimo wszystko jednak nie mogę, nie mogę ci uwierzyć! Dzisiaj nawet mniej niż kiedykolwiek. Sprawiasz mi wiele udręki, Bernadeto! Za-

(Ciąg dalszy nastąpi)

Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II Synowi Polski! w hołdzie!

Pragnę Hołd złożyć — KU CHWALE PAPIEŻA!
Którego Ojciec z niebios — wybrał z mej Ojczyzny!
Która znosiła różnorodne bliźny...
Wierna! W potęgę polskiego przymierza!...

On pragnie rozsiać... Ogromy miłości...
Po całym globie... By każdy był bratem,
Znikły różnice... ogromy podłości...
By wolność! z wiarą! załśniła nad światem!

On pragnie wlewać moce wytrwałości,
gdzie zło swe macki... rozsiewa zbrodniczo,
on chce by wiara! Jaśniała z miłości,
wolność religii — była nam STRAŻNICĄ.

Modlitwy nasze płyną do stóp Boga!

W wielkiej podziękę... Bo On nam ostoją!
Trwamy bez lęku... Nie ogarnia twoga,
rany zadane przez wrogów — mniej ból.

Aż błysnie ranek... że wszystkie narody,
podadzą sobie na przymierze dłonie,
Papież tak pragnie... Religii swobody!
By Częstochowska! Jaśniała w koronie...

W każdym zakątku — na ścieżynie dróg,
Bo całym światem —
wiemy rządzi Bóg!!!

Szwecja Sanatorium 79 r.
F. Oswist - Grzegorzewska
Warszawska harcerka

Wspomnienia z Kazachstanu

Pod tym tytułem, „Biblioteka Spotkań” w Lublinie wydała w 1973 roku, w formie „samizdatu”, wspomnienia księdza Władysława Bukowińskiego. Sporządzone w czasie przejściowego pobytu autora w Polsce w latach 60-70-tych, są one bardzo ciekawe, bo bezpretensjonalne i werydyczne, niestety trudne do odszyfrowania w wydaniu „samizdatu”.

Władysława Bukowińskiego znalazłem jeszcze z ławy Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, gdzie w latach 20-tych, nie będąc jeszcze księdzem, studiowaliśmy razem prawo. Co zafrapowało mnie w koledze Bukowińskim, to jego „kontestatoryzm”, który moim zdaniem oznaczał siłą i odwagę indywidualności: Bukowiński bowiem, w formie zresztą najgrzeźniejszej, podnosząc palec, przerywał wykład wielkiego profesora Stanisława Kutrzeby, stawiając mu uczone pytania, co zresztą wprawiało w gwałtowną irytację uczonego męża. Była to jeszcze epoka kiedy monolog górował nad dialogiem.

Władysław Bukowiński urodził się 22 grudnia (st.st.) 1904 roku w Burdyszewie na Ukrainie, a umarł 1974 roku w Karagandzie w Kazachstanie. W 1920 roku z rodziną przyjechał z Ukrainy do Polski. Tutaj w latach 1921-1931 był studentem Uniwersytetu Jagiellońskiego, zrazu na wydziale prawa, a później teologii. Wyświęcony został 28 czerwca 1931 roku przez ks. Metropolitę Adama Stefana Sapiechę. Do roku 1936 pracował jako duszpasterz w Rabce i Sucheju, a po tym w Łucku. Tutaj w 1939 roku biskup Adolf Piotr Szelągęk mianował go proboszczem katedry.

Z wkroczeniem bolszewików do Łucka, rozpoczyna się dla kościoła era

prześladowań, więzień, deportacji. Nowa karta otwierała się dla ks. Kukowińskiego gdy po raz ostatni patrzył na białe mury katedry łuckiej siedząc na tylnej platformie kamionu wywożącego do wnętrza Rosji. Co prawda towarzyszą mu ukochani koledzy, księża Józef Kuczyński i Bronisław Drzepecki, a na przednim siedzeniu koło szofera 80-letni biskup Adolf Piotr Szelągęk.

Zaczęło się od więzień. Dla ks. Bukowińskiego trwają one z przerwami 13 lat, 5 miesięcy, 10 dni, ale rekord należy do jego kolegów: dla ks. Kuczyńskiego miały one trwać 17 lat, dla ks. Drzepeckiego 15. Kijów, Ural; Kazachstan znaący etapy. Autor nie lubi robić z siebie męczennika, we wszystkim szuka prawdy i jej umiaru. Zresztą zdaniem jego wszelka przesada w oczernianiu stosunków sowieckich może tylko szkodzić możliwej liberalizacji w tych krajach. Dlatego nie uzala się na złe traktowanie, przeciwnie podkreśla względną poprawność, a czasem wyraźną dobroduszość swoich oprawców. Co prawda, nie wszyscy odznaczają się inteligencją, jak ten indagujący go urzędnik, który spostrzegłszy go odmawiającego różaniec podczas śledztwa, wpadł w wściekłość krzycząc „tut nielzia militsia”. Raz tylko był ks. Bukowiński biły, a i to uważał sobie za „szczęście”, gwałtowny bowiem policzek żandarma ochronił go od kilkudniowego więzienia w celi, gdzie byłoby mu chłodno i głodno: „grzech” autora polegał na tym, że w nocy wyszedł ze swego baraku do innego celu wypowiedzenia pewnego młodego człowieka. Warunki więzienne były zwłaszcza ciężkie ze względu na pierwsze lata wojenne, ale to się później poprawiło. Uciążliwym też było towa-

rzystwo „żulików” z którymi autor stał się prawdziwie walki stojąc w obronie uciskanych przez nich towarzyszy.

Po śmierci Stalina, sytuacja znacznie się poprawia. W 1955 roku otwiera się możliwość repatriacji zestrąconych do Kraju. Przeważnie każdy korzysta. Ks. Bukowiński — jeden z bardzo rzadkich — podpisuje się za pozostaniem w Związku Radzieckim: nie chce bowiem opuszczać swych ludzi bez księży. W 1956 roku otrzymuje normalny paszport radziecki, co nie przeszkadza, że dwa lata później zostaje znowu aresztowany i osadzony w więzieniu.

Jako obywatel radziecki osiada na stałe w mieście Karaganda, podczas gdy jego dawni koledzy i przyjaciele obierają północny Kazachstan za teren swej pracy. Zważyć należy, że w Kazachstanie żyje około 53 tysięcy Polaków, a jest ich jeszcze więcej w Alma Ata. Ks. Bukowiński obsługuje również bardzo licznych Niemców, jak i Litwinów i Ukraińców.

Cała Rosja Sowiecka należy do trzeciej zony religijnej, tzn. że nie ma tu rejestrowanych przez państwo kościołów i księży. Duszpasterstwo jest więc w zasadzie nielegalne, najwyższe czasem tolerowane. Lepiej, pod pewnymi względami, jest na Litwie i Łotwie, gdzie kościoły i duchowieństwo są rejestrowane.

(Dokończenie na str. 8-iej)

Rekolekcje dla Sióstr Zakonnych ze Zgromadzeń polskich oraz Sióstr polskiego pochodzenia — będą miały miejsce od soboty wieczorem 23 sierpnia do rana w sobotę 30 sierpnia 1980 r. w Osny pod Paryżem. Koszty 40,00 fr. dziennie.

(Dokończenie ze str. 2-ej)

wane i gdzie istnieje uznana hierarchia kościelna, ale tutaj jesteśmy w pierwszej zonie, podczas gdy Białoruś i Ukraina należą do drugiej.

Wybudowany przez księdza Bukowińskiego kościółek w Karagandzie zostaje przez władze państwowe zamknięty, tak że duszpasterz jest zmuszony ograniczać swą pracę w mieszkaniach prywatnych, które wciąż zmienia wybierając miejsca nabożeństw na cichych i odległych peryferiach. Tutaj jednak odbywa się bardzo intensywne życie duchowe. Ludzie schodzą się setkami, napływając nawet z dalekiego Archangielska, z Nadwołżia, Syberii Wschodniej. Często dwie Msze święte rano i wieczorem, poza tym chrzty, katechizacje, śluby, spowiedzi, Komunie święte dla młodszych i starszych, którzy nie widzieli księdza od dziesięć lat. Poza pracą na miejscu w Karagandzie, autor wyjeżdżał osiem razy na dalekie misje do kraju Tadżyków na granicy Afganistanu lub też do Ałma Ata pod śnieżne góry Pamiru. Przeważnie kończy się to interwencją władz, sądem i wyprawieniem względnie karą grzywny. „Pop”, jak tutaj nazywają duchownego, jest jednak prawie zawsze szanowany, a czasem spotyka na wielkie wyrozumienie co do swej pracy. Autor odnosi wielkie zadowolenie z tych swoich wypraw i np. w Ałma Ata, gdzie obecni ludzie masowo płakali z radości spotykając pierwszego od dawna widzanego księdza. Wracając z Ałma Ata skromnym zaprzęgiem ciągnionym przez konika, ks. Bukowiński, mając przed sobą wspaniałą panoramę niebotycznych gór pokrytych śniegiem, odczuwał taką radość, że nie zamieniłby ją za żadne skarby świata.

Oczywiście orka pasterska musi tu iść w głąb. Ciągła presja rządu, nieobecność księży i kościołów spowodowały tu wielkie spustoszenia religijne. Starzy trzymają się tu lepiej niż młodzi. Błogosławieństwem w osamotnionym religijnie domu jest obecność starej babci, która pamięta stare pieśni modlitewne i utrzymuje praktykę codziennej modlitwy. O ile Polacy są dla księdza serdeczniejsi i hojniejsi, Niemcy natomiast górują poważniejszym i bardziej uświadomionym odniesieniem do religii i obowiązków, które ona nakłada: „Nottauaf, Naitraung, Selbstkommunion” są tu praktykowane pod nieobecność księdza. Ale wszyscy naogół pragnienie dbają o swojego księdza. Żyjąc wśród nich, autor pisze, że nic mu nie brakowało, tylko że ofiarą nie mógł sobie kupić samochodu.

Ksiądz w tych okolicach nie może się ograniczyć do jednej narodowości. Kazania głosi się: po polsku, niemiecku, ukraińsku, litewsku. Dużo jest tu Niem-

ców. Jest to bardzo stara kolonizacja, bo aż datująca od Katarzyny wielkiej Izn. od XVIII wieku. Są to Niemcy przeważnie przesiedleni w czasie wojny z Odessy i Saratowa. Protestanci i liczni katolicy, bardzo przywiązani do Kościoła i ostantatycznie występujący jako „Deutsch-Katholiken”. Nie lubią oni małżeństwa mieszanych i wolą nawet z inną narodowością, byleby tamta strona była katolicka. Dobre pożycie ma autor z Litwinami i Ukraincami. Dawna Unia Litwy z Polską nie jest tu jednak popularna: według Litwinów Polacy zanadto łatwo asymilują oni chcieliby zachować swoją tożsamość. Dlatego bardziej im się uśmiecha federacja z Łotwą i Estonią i bodaj nawet Finlandią. Ukraińcy bardzo są podzieleni: tzw. „Chochoły” ciągną bardzo do metropolii rosyjskiej, natomiast Galicjanie marzą o utworzeniu Wielkiej Ukrainy. Najlepiej wspominają Polaków Wołyńskie: wspominają oni jak to starostwie Piłsudskiego byli z nimi grzeczni i uprzejmi. Ale widzimy, że w tych perspektywach politycznych idea Polski „piastowskiej” jest więcej aktualna niż Polski „jagiellońskiej”. Od czasów wizyty Naser, bardzo się poprawiła sytuacja Mahometanów: odzyskali oni meczety i, choć wielu z nich straciło wiarę, nigdy nie usłyszy się Mahometanina rugającego się z nimi. Rosjanie mają tu jednak duży wpływ. Najlepiej prowadzi się Żydom: mówi się tu, że „Szmulowi zabrali trzy domy, ale Szmul prowadzi dziś zakład jubilerski”. Gospodarze Rosjanie są bardzo podzieleni. Część z nich idzie za kościołem oficjalnym. Ale dużo jest też takich, którzy nie chcą z nim mieć wspólnego, bowiem wszystko, co ma styczność z

komunizmem jest „dziełem szatana”, odmawiają, więc nawet paszportów, starczy im przedstawić się: „ja rab Bożij, Sierafim”, „ja rabinia Bozia Agafia”. Grasują tu zabobony i inkarnacje św. Michała. Bardzo rozwinęte jest Sekciarstwo: Baptyści, Menonici, Adwentysty, Zielonoswiątkowcy, Mołokanie, Chłysty, Świadkowie Jehowy. Ci ostatni są wrogo usposobieni do katolicyzmu: jeden z nich na zebraniu oskarżał Kościół katolicki, że bardzo męczą ludzi w czasie wypraw krzyżowych, „a kiedy były te wyprawy? zapytuje ktoś z obecnych. „A, za Aleksandra Macedońskiego”, pada odpowiedź.

Propaganda ateistyczna stoi według autora na bardzo niskim poziomie. Może dlatego ateistów byłoby mniej niż agnostyków. Ale brak księży powoduje utratę praktyki religijnej. Bodaj księży „na stałe”, jak ks. Władysław Bukowiński w Karagandzie, są rzadkimi wyjątkami. Autor za to podaje całą listę bardzo wybitnych misjonarzy przybywających z ościennych krajów, Litwy, Łotwy, Ukrainy, których działalność jest bardzo utrudniona i zwykle nie może trwać długo. Władze polityczne boją się wpływu duchowieństwa. Ażeby przeskodzić kontaktom duchowych z ludem istnieje pod Moskwą specjalny obóz dla „religiników”, przeznaczony wyłącznie dla duchownych. Autor spotkał tu swego biskupa ks. Szelązka, jak też metropolitę Słipyj'ego.

S.p.ks. Władysław Bukowiński odszedł już 1974 roku po nagrodę Ojca w Niebie. Oby piękny przykład, który pozostawił, przyswiecał nam w naszym życiu i pracach.

ks prał. Aleksander-Plater-Zyberk

Ofiary na „Tydzień Miłosierdzia”

Pp. Karpel Marie — Le Quesnay (59), Banaś Maciej i Paulina — Verneuil en Halatte (60), Dominik Anna — Villers St-Paul (60), Wojcieszak K. — La Courcelle (23), Jurkiewicz — Sal-laumes (62), Celary Władysław — Clermont Ferrand (63).

P. Matuszak — od Rodaków z terenu Parafii Polskiej — Calonne-Liévin (62) zebrane przez Bractwo Żywego Różańca : 600,00 F.

Ks. Łałuża Jan S. Chr. — od Rodaków z terenu Parafii Polskiej Méricourt-Maroc (62):

Ofiary od parafian	1.350,00
Bractwo Żywego Różańca	100,00
p. Menes	100,00

Razem : 1.550, F.

Ks. Skomorowski Alfons S. Chr. — dodatkowo od Rodaków z Parafii Pol-

skiej — Rouvroy (62) zebrane w Wielkim Poście w Kościele Rouvroy 1.770,00 F.

Ofiarodawcom „Bóg Zapłać”.

Dalsze ofiary prosimy przysyłać na adres — Mission Catholique Polonaise — 263 bis, rue St-Honoré — 75001 PARIS wpłacając na C.C.P. 1 268-75 N. PARIS z zaznaczeniem na odwrocie — „Tydzień Miłosierdzia”.

Gorąco prosimy wspierać akcję budowy „Domu Polskiego Pielgrzyma” w Lourdes.

Ofiary prosimy wpłacać na : Mission Catholique Polonaise de France — C.C.P. nr 1. 268-75 N PARIS.

„Wychowanie Młodzieży do wiary”

(Ciąg dalszy)

II. Rola rodziny i Kościoła w przekazywaniu wiary.

Rodzice chrześcijańscy na podstawie przyjętego przez siebie chrztu i chrztu ich dziecka włączeni są w wielką rodzinę chrześcijańską jaką jest Kościół i wraz z Nim mają pełnić zbawczą Jego misję przekazaną przez Chrystusa. W tej misji mieści się także i funkcja religijna — obowiązek religijnego wychowania dzieci.

Rodzina jest bowiem, w myśl określenia soborowego „domowym Kościołem” (Konst. Dogm. o Kościele, 11) realizującym Królestwo Chrystusa, najpierw wśród swoich członków przez religijne wychowanie dzieci drogą przekazywania im prawd wiary i dawania przykładu religijnego życia, czyli świadectwa wiary. W tym domowym Kościele, podkreśla dokument soborowy, rodzice przy pomocy słowa i przykładu powinni być dla swoich dzieci pierwszymi zwiastunami wiary i pielegnować właściwe każdemu powołanie, polegające między innymi i na tym, że mają być dla siebie nawzajem i dla swoich dzieci świadkami wiary i miłości.

Współczesna rodzina katolicka w swej funkcji wychowania religijnego dzieci nie może ograniczyć się tylko do szczątkowego wychowania religijnego — do nauczania „pacierza”, przykazań Bożych i kościelnych, sześciu prawd wiary i przypilnowania dziecka, by było obecne na lekcjach religii. Ale na wzór pierwszych wieków chrześcijaństwa rodzina dzisiejsza winna pełnić swą funkcję religijną we wszystkich możliwych kierunkach z pełnym zaangażowaniem wewnętrznym jak tego zresztą wymaga proces wychowawczy.

Wychowanie religijne dziecka, podobnie zresztą jak każde wychowanie rozpocząć się powinno jaknajwcześniej, to znaczy od pierwszych chwil istnienia dziecka i zmierzać powinno do trwałego zespolenia z Bogiem, czyli do życia w łasce poprzez coraz głębsze poznanie Go, uczuciowe przeżywanie miłości i dawanie o nim świadectwa życiem. Zresztą na zasadzie wzajemnego oddziaływania dziecko jest wychowanikiem i wychowawcą. Posłuchajmy zwierzchni jednej z matek: „O ile wychowywałam dzieci, to na tyle

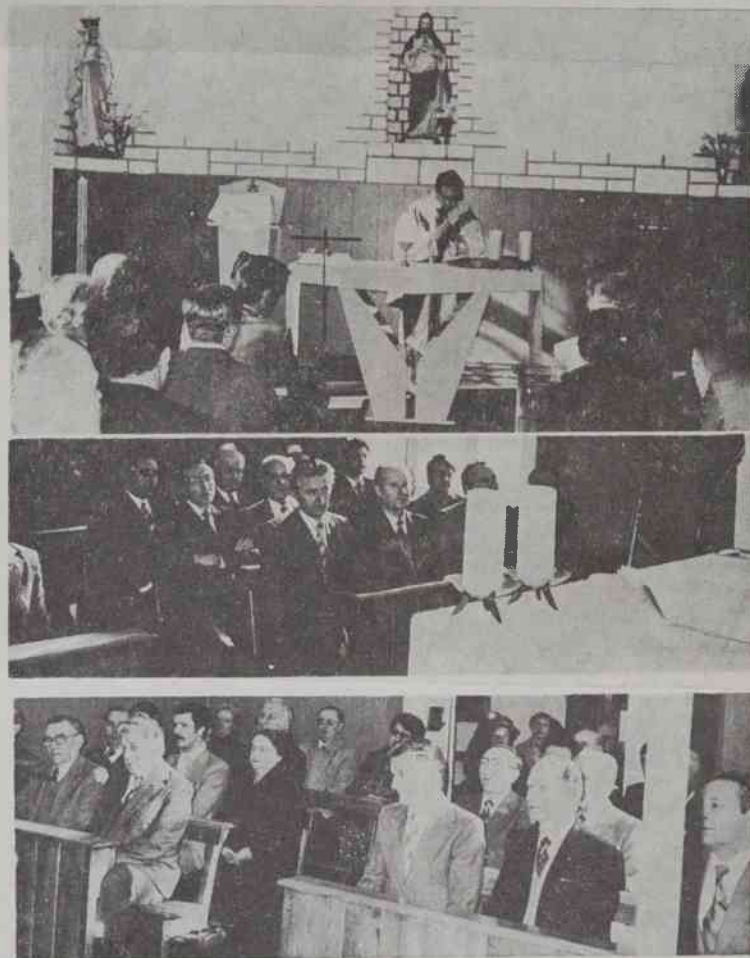
samo byłam przez nie wychowywana i to również pod względem religijnym. Wiarę przekazywaliśmy sobie wzajemnie razem z miłością.

One pytały, a ja bardzo często wtedy dopiero musiałam pewne zagadnienia przemyśleć, czy nawet o nie pytać lub czytać na te tematy, ale o ile szukałam wyjaśnień, to nie pod kątem przekazywania ich dzieciom ale najpierw zdobycia wiedzy dla siebie. Nigdy nie potrafiłabym powiedzieć, jak trzeba dzieci wycho-

wywać, ani nawet jak należy przekazywać im wiarę w Boga; trzeba je po prostu kochać i chcieć dla nich najwyższych wartości a do poznania tych dochodzi się razem z nimi”.

(Wypowiedź ta i następne są z 1975 r. Duszpasterstwo Synodu Krakowskiego zebrało ponad 100 wypowiedzi na temat doświadczenia odnośnie przekazywania wiary w rodzinie).

(Ciąg dalszy nastąpi)



13-go kwietnia, Msza św. w Fouquières-les-Béthune w kaplicy Sióstr Sercanek z okazji zebrania Rady PZK i Zw. Kupców i Rzemieślników, celebryje ks. Rektor.

Wspomnienia z Rosji

(Ciąg dalszy)

Zieliński wyrzeźbił jeden obraz, a drugi wymalował Siemiradzki. Były z tym też duże trudności, bo brakowało farb. Te oba obrazy przyniósł do mnie Birecki i ja je poświęciłem, a następnie odprawiłem przed nimi Mszę św. Potem, gdybyśmy wyjeżdżali do innego obozu pod koniec czerwca, ponieważ rozpoczęła się wojna między Niemcami a Rosją, była trudność, jak te obrazy przewieźć. Obóz w Kozielsku został w ciągu jednego dnia zwinięty. Rano, po śniadaniu kazano nam wszystkim wyjść razem z rzeczami, co oznaczało, że opuszczamy obóz. Trzeba było jakoś te obrazy przewieźć. Obraz Zielińskiego płk. Kosiba położył w kuferku jako dno, został przy rewizji nie zauważony i przewieziony.

Czy tak samo i Siemiradzkiego?

Tak samo i Siemiradzkiego.

Kto wziął te obrazy?

Jeden zabrał płk. Kosiba, a drugi nie pamiętam. Acha! Por. Siemiński.

Jak wyglądała likwidacja tego obozu?

Jak już powiedziałem, kazano nam wszystkim wyjść na podwórze i oznaczono, że już nikt nie wróci na swoje miejsce. Cały dzień zdawaliśmy rzeczy: sienniki, na których spaliśmy, słomę w siennikach, sieczkę, koce. I tak trzymaliśmy nas do wieczora. Liczyli wszystko i nie mogli się doliczyć. Wieczorem spędzili nas do cerkwi i tam spędziliśmy całą noc. Nad ranem zjawił się jakiś Zydek i on policzył wszystko przedko. Ustawił nas parami, policzył i ruszyliśmy do stacji Kozielsk, ale zatrzymaliśmy się poza stacją. Tu widzieliśmy pociągi pełne jeńców polskich, nadjeżdżające od strony Mińska i Smoleńska, a kierujące się na wschód. Natomiast w stronę frontu jechało wojsko.

Jak dalej przebiegała podróż?

W wagonach z zabitymi oknami i drzwiami. Dano nam po kawałku chleba i beczkę małych rybek, bardzo słonych. Tej rybki nawet nie spróbowałem, bo po zjedzeniu takiej rybki można było umrzeć z pragnienia. Ci którzy poprobowali, wili się z bólu na podłodze wagonu.

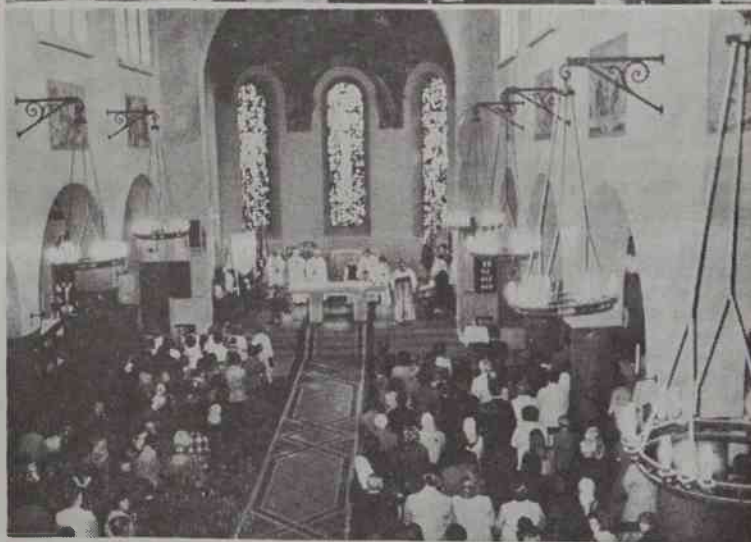
Wozili nas to w tę, to w inną stronę. Pamiętam jak nas przywieźli do Moskwy. Przez szczylinę zobaczyłem cerkiew w Moskwie. Na dworcu staliśmy niedługo. Jaki to był dworzec, nie wiem. Wiem tylko, że to była Moskwa. Po kilku dniach błąkania przywieźli nas do lasu i kazali wysiadać. Czego moż-

na się spodziewać w lesie? Wszystkiego. Ale okazało się, że niedaleko był mały obóz jeniecki, zwany Griazowiec. Miejsce to było niedaleko Wołody. Tam przebywali już nasi żołnierze i oficerowie jako jeńcy. Obóz nie był przygotowany na tak wielką ilość żołnierzy. Stałiśmy więc pod gołym niebem. Z czasem zbudowano dach, postawiono prycze i tam mogliśmy nocować. Był to lipiec i sierpień, dni gorące. Prawie całą noc

widno. Zmierzch zaczynał się około godziny jedenastej, a po godzinie znów jasno.

Tam właśnie, w tym obozie otrzymaliśmy wolność. Tam przyjechał gen. Władysław Anders i gen. Szyszko-Bohusz. I tam zostaliśmy uznani za wolne Wojsko Polskie. Tam została odprawiona oficjalnie polowa Msza św. przez proboszcza W.P., ks. Franciszka Tyczkowskiego. Na tę Mszę stawił się cały obóz, NKWD i obozowa generalicja rosyjska.

(Dokończenie nastąpi)



Trzeci Maj w Alzacji — Msza św w Wittenheim, odprawia Ksiądz Rektor Z. Bernacki i Ks. dziekan Bieszczad B., Ks. prob. J. Styła oraz Ks. prob. Ziółkowski.

TYGODNIK NIE JEST DZIENNIKIEM

Tak, jak to już miało miejsce po podróży Ojca Świętego do Polski, napewno niejednego Czytelnika zdziwi, że ani słowa nie wspomniamy o wizycie Ojca Świętego i audyencji dla Polaków w Paryżu.

Niestety, tygodnik nie jest dziennikiem. Materiał do tego numeru wysyłamy do drukarni na dwa tygodnie przed przybyciem Ojca Świętego. Materiał ten trzeba poprawić — przeprowadzić jego korektę, wysłać dwa tygodnie wcześniej, czyli najpóźniej

tuż przed wizytą Ojca Św. bo inaczej ryzykujemy, że ze względu na powolność poczty, odległych krajów, do których wysyłamy „Głos Katolicki” — numer ten nie dojdzie na czas do rąk Czytelników. Wątpimy, czy uda się nam to uczynić nawet w przyszłym numerze. — Jest to od nas niezależne. — Na szybkie podanie wiadomości — może sobie pozwolić tylko dziennik i to taki, który ma rozbudowaną sieć korespondentów.

Stąd, jeśli drogich Czytelników

prosimy o wyrozumienie, to tym bardziej prosimy Korespondentów i tych, którzy proszą o umieszczenie swych artykułów czy komunikatów, aby przysyłali je do redakcji „Głosu Katolickiego” na miesiąc wcześniej.

Fakt, że tygodnik nie jest dziennikiem — wypływa nie tylko z tych trudności, ale również z charakteru tygodnika, którego celem nie jest podawanie najświeższych wiadomości, ale może on podawać już odebrane i uporządkowane wrażenia z wydarzeń. Tygodnik wychwytyuje reakcje, echa wydarzeń, w dalszych zaś numerach podaje teksty i do pewnego stopnia pozwala na głębszą refleksję.

Celem zresztą szczególnym tego typu tygodnika jak nasz — nie jest w pierwszym rzędzie informacja, ale formacja katolicka, formacja czytelnika, pogłębienie jego wiedzy szczególnie religijnej, i pod tym kątem jest on przede wszystkim redagowany.

Niewiele jest zresztą takich tygodników nawet o wielkim nakładzie, które by z tygodnia na tydzień — podawały syntezę aktualnych wydarzeń.

Prosimy zatem o wybaczenie nam, jeśli dopiero w dalszych numerach zaczną się ukazywać reportaże, teksty i refleksje z wizyty Ojca Świętego w Paryżu i Lisieux.

Redakcja

Rok Polski – CZERWIEC

Młodopolscy literaci wywodzili mylnie słowo czerwiec od czerwieni jagód. W rzeczywistości, wraz z czerwienią pochodzi ono od czerwia. Czerw, robaczek, a raczej pajęczek małeńki jak kropka nad „i”, purpurowej barwy, roi się między korzeniami dębów. W tym miesiącu jest najśliniej zabarwiony. To żyjątko koralowe stanowiło niegdyś ważny przedmiot handlu, używano je do barwienia tkanin. Drogo placono kwartę czerwia, wszelka zapłata jednak wyjada

się niska, porównana z trudem zbierania. Rozgarnąć ziemię pod drzewem, śledzić miganie ruchliwych czerwonych punkcików, zgarniać je do podstawionej krótki; gdy znikną sposzone, czekać, aż pojawią się znowu... Zaprawdę, cierpliwość była cnotą owych czasów! Kosztowna purpura wrosła w pamięć mieszkańców puszczy polanańskiej tak mocno, że miesiąc zatrzymał jej nazwę.

Czerwiec... Najdłuższe dnie, najkrótsze noce, noce ciepłe i wonne, rozjaśnione błyskaniem świętojańskich robaczków, luksusowej fantazji natury. Szczytowy punkt lata. Rytmiczne kumkanie żab w strugach i stawach o zmierzchu...

Zofia Kossak

Refleksje i myśli Księdza Prymasa

Tragedia nie jest stanem normalnym, jest raczej wypadkiem, zdarzeniem, czymś przejściowym; stan normalny to spokojna, ufna miłość, choćby — na krzyżu.

Powiedziano: „res sacra miser” — człowiek nieszczęśliwy, to rzecz święta, a ja wam mówię: „res sacra homo” — człowiek to rzecz święta.

Wartości człowieka są tak olbrzymie, że kłeka przed człowiekiem — Bóg Człowiek.

Obejrzyjmy się wokół siebie i zamknawszy oczy pomyślmy, czy jest taka osoba, która by nie zasługiwała już na to, aby jej nogi ucałować.

Zawsze, gdy jest szczególnie ciężko, gdy ciemności ogarniają ziemię, a słońce już gaśnie i gwiazdy nie dają światłości, trzeba wszystko oddawać Maryi.

LITURGIA NIEDZIELI

Uroczystość Najświętszego Serca Pana Jezusa

Piątek po 2. Niedzieli po Zesłaniu
Ducha św.

Antyfony na wejście Ps 32, 10, 9
Zamysły Jego serca trwają poprzez pokolenia, aby ocalić ich życie i żywić ich w czasie głodu.

Modlitwa

Daj nam, prosimy, wszechmogący Boże, abyśmy wielbiąc Serce ukochanego Syna Twego i rozpamiętywując szczególne dowody Jego miłości ku nam zasłużyli sobie na przeobfitą łaskę, wypływającą z tego Boskiego źródła darów. Przez Pana naszego.

albo:

Boże, który w Sercu Twojego Syna, zranionym naszymi grzechami, dajesz nam niewyczerpane skarby miłości, spraw, prosimy, abyśmy składając Mu hold naszego oddania, wypełniali również obowiązek godnego zadouśmucznienia. Przez Pana naszego.

„Wierzę”.

Modlitwa nad darami

Wejrzyj, prosimy Cię, Panie, na nie-

wysłowioną miłość Serca Twojego najdroższego Syna, i spraw, aby nasz dar stał się miłą Tobie ofiarą i zadośćuczynieniem za nasze grzechy. Przez Chrystusa.

Prefacja

K. Pan z wami.

W. I z duchem twoim.

K. W górę serca.

W. Wznosimy je do Pana.

K. Dzięki składajmy, Panu, Bogu naszemu.

W. Godne to i sprawiedliwe.

Zaprawdę godne to i sprawiedliwe, sćsuzne i zbawienne, abyśmy zawsze i wszędzie Tobie składali dziękczynienie, Panie, Ojczy święty, wszechmogący wieczny Boże, przez Chrystusa, Pana naszego.

On podniesiony na krzyżu, z przedziwnej miłości wydał samego siebie za nas, a kiedy z przebitego boku wypłynęła krew i woda, dał początek sakramentom Kościoła, aby wszyscy pociągnięci do otwartego serca Zbawiciela z radością czerpali ze źródeł odkupienia.

Przeto ze świętymi oraz ze wszystkimi aniołami śpiewamy hymn ku Twojej chwale, bez końca, wołając :

Święty, Święty, Święty, Pan Bóg Zastępców. Pełne są niebios a i ziemia chwały Twojej. Hosanna na wysokości. Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie. Hosanna na wysokości.

Antyfony na Komunię J 7,37-38

Pan mówi: Jeśli ktoś jest spragniony, niech przyjdzie do Mnie i pije; kto wierzy we Mnie, strumienie wody żywej popłyną z jego wnętrza".

albo: J 19,34

Jeden z żołnierzy włócznią przebił Mu bok i natychmiast wypłynęła krew i woda.

Modlitwa po Komunii

Panie, niech ta Komunia sprawi, a-bymy pałali świętą miłością, i zawsze przyciągani przez nią do Twojego Syna, umieli Go rozpoznawać w naszych braciach. Przez Chrystusa.

GŁOS KATOLICKI LA VOIX CATHOLIQUE

263-bis, rue St- Honoré — 75001 PARIS
Telefon: 260-07-89

C.C.P.: PARIS 12 777 08 U

Dyrektor: Ks. Prałat Z. BERNACKI
Redaktor: Ks. A.J. STOPA
Administrator: Br. W. SZYNAKIEWICZ

Nr d'autorisation 60.583

Mission Catholique Polonaise
263-bis, rue St- Honoré — 75001 PARIS

Imprimerie „NARODOWIEC”
101, rue E. Zola — 62302 LENS

PIERWSZE CZYTANIE Ez 34, 11-16

Bóg sam będzie pasterzem swoich owiec

Czytanie z Księgi proroka Ezechiela.
To mówi Pan Bóg :

„Oto Ja sam będę szukał moich owiec i będę miał o nie pieczę. Jak pasterz dokonuje przeglądu swojej trzody, wtedy gdy znajdzie się wśród rozproszonych owiec, tak Ja dokonam przeglądu moich owiec i uwonię je ze wszystkich miejsc dokąd się rozproszyły w dni ciemne i mroczne. Wyprowadzę je spomiędzy narodów i zgromadzę je z krajów, sprowadzę je z powrotem do ich ziemi i paść je będę na górach izraelskich, w dolinach i we wszystkich zamieszkałych miejscach kraju. Na dobrym pastwisku będę je paść, na wyżynach Izraela ma być ich pastwisko. Wtedy będą one leżały na dobrym pastwisku, na tłustym pastwisku paść się będą na górach izraelskich.

Ja sam będę paść moje owce i Ja sam będę je układał na legowisko, mówi Pan Bóg. Zagubioną odszukam, zabłąkaną sprowadzę z powrotem, skałeczoną opatrzę, chorą umocnię, a tłustą i mocną będę ochraniał. Będę paść sprawiedliwie”.

Oto słowo Boże.

PSALM RESPONSORYJNY

Ps 23(22), P-2ab, 2e-3. 4 .5. 6(R.2: por 1)

Refren: Pan mym pasterzem, nie brak mi niczego.

Pan jest moim pasterzem, niczego mi nie braknie.

Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach.

Refren.

Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpościć,

orzeźwia moją duszę.

Wiedzie mnie po właściwych ścieżkach przez wzgląd na swoją chwałę.

Refren.

Chociażbym przechodził przez ciemną dolinę,

zła się nie ulęknę, bo Ty jesteś ze mną. Kij Twój i laska pasterska są moją pociechą.

Refren.

Stół dla mnie zastawiasz na oczach mych wrogów. Namaszczasz mi głowę olejkami, a kielich mój pełny po brzegi.

Refren.

Dobroć i łaska pójdą w ślad za mną przez wszystkie dni mego życia i zamieszkać w domu Pana po najdłuższe czasy.

Refren.

DRUGIE CZYTANIE Rz 5, 5-11

Bóg ukazuje nam swoją miłość przez Chrystusa

Czytanie z Listu świętego Pawła Apostoła do Rzymian.

Bracia :

Miłość Boża rozlana jest w sercach naszych przez Ducha Świętego, który został nam dany. Chrystus bowiem umarł za nas jako za grzeszników w oznaczonym czasie, gdyśmy jeszcze byli bezsilni. A nawet za człowieka sprawiedliwego podejmuje się ktoś umrzeć tylko z największą trudnością. Chociaż może jeszcze za człowieka życzliwego odważyłby się ktoś ponieść śmierć.

Bóg zaś okazuje nam swoją miłość właśnie przez to, że Chrystus umarł za nas, gdyśmy byli jeszcze grzesznikami. Tym bardziej więc będziemy przez Niego zachowani od karzącego gniewu, gdy teraz przez Krew Jego zostaliśmy usprawiedliwieni.

Jeżeli bowiem będąc nieprzyjaciółmi zostaliśmy pojednani z Bogiem przez śmierć Jego Syna, to tym bardziej będąc już pojednani, dostąpimy zbawienia przez Jego życie. I nie tylko to, ale i chlubić się możemy w Bogu przez Pana naszego Jezusa Chrystusa, przez którego teraz uzyskaliśmy pojednanie.

Oto słowo Boże.

SPIEW PRZED EWANGELIĄ J 10, 14

Aklamacja: Alleluja, alleluja, alleluja. Ja jestem dobrym Pasterzem i znam owce moje, a moje Mnie znają. Aklamacja: Alleluja, alleluja, alleluja.

albo:

SPIEW PRZED EWANGELIĄ Mt 11, 29ab

Aklamacja: Alleluja, alleluja, alleluja. Weźcie moje jarzmo na siebie i uczcie się ode Mnie, bo jestem cichy i pokorny sercem. Aklamacja: Alleluja, alleluja, alleluja.

EWANGELIA Łk 15, 3-7

Przywiosć o zgubionej owcy

† Słowa Ewangelii według świętego Łukasza.

Jezus opowiedział faryzeuszom i uczynom w Piśmie następującą przypowieść: „Któż z was, gdy ma sto owiec, a zgubi jedną z nich, nie zostawia czterdziestu dziewięciu na pustyni i nie idzie za zagubioną, aż ją znajdzie? A gdy ją znajdzie, bierze z radością na ramiona i wraca do domu; sprasza przyjaciół i sąsiadów i mówi im: „Cieszcie się ze mną, bo znalazłem owcę, która mi zginęła”.

Powiadam wam: Tak samo w niebie większa będzie radość z jednego grzesznika, który się nawraca, niż z czterdziestu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują nawrócenia”.

Oto słowo Pańskie.